Za bardzo bolesne by zapomnieć

Był kwiecień. Nie za gorący, ale ciepły. Na tyle ciepły, aby czuć pragnienie. I wielu czuło i, jak zwykle, uparcie próbowało je zwalczyć, ugasić w sobie starym, narodowym niemalże już zwyczajem.

Antek nie był wyjątkiem – gdy pili inni, on bynajmniej biernie nie asystował. On był „normalny”. Bo normą w tym przypadku było picie, tak jak normą społeczną było i jest pogrzebanie zmarłego w ziemi.

Dzisiejszy dzień niewiele różnił się od tych wielu bezpowrotnie minionych. Antek jak zwykle rano zameldował się w pracy, co nieco, jak jeszcze miał siłę i sprawne ruchy, odwalił, i jeszcze przed fajrantem był po kilku piwach. Wkrótce potem, ale już po godzinach pracy, „załapało” go zupełnie. Najpierw więc opróżnił jedną półlitrówkę z kolegą z budowy, potem drugą, a jeszcze potem… Potem nie wiedział już nic – ani tego, kiedy urwał mu się film, ani jak znalazł się parku, gdzie pijacki instynkt doprowadził go do niewidocznego z najbliższej alejki legowiska. Osłonięte było ono kilkoma rachitycznymi krzakami, w których nieprzytomny wręcz z upojenia i nie wiedząc nic o świecie, znalazł sobie tymczasową przystań, zapomniany prze ludzi i Boga.

Zmierzchało. Słońce, niczym pomarańcza rzucona w górę, niespiesznie spadało, by w końcu zniknąć za horyzontem, rozświetlając je karmazynowym światłem. Kolejny dzień powoli odchodził w otchłań zapomnienia. Jednak nie dla wszystkich staczał się on w niepamięć: jedni nie chcieli go zapomnieć, inni natomiast nie mogli. Nie było im dane zapomnieć o nim choć na chwilę, osiągnąć

obojętność i upragniony spokój, dający wytchnienie, zarówno duszy, jak i ciału.

Jak co tydzień Ala, po skończonych bardzo późnym popołudniem, czy raczej wczesnym wieczorze, lekcjach, wracała do domu przez park. Przeważnie towarzyszyła jej koleżanka, lecz ta niespodziewanie rozchorowała się, dlatego była zmuszona prze kilka dni pokonywać ten dystans sama. Nie bała się – było przecież jeszcze widno! Co innego w zimie. Chociaż, wiadomo, nigdy nie jest przyjemnie i wesoło, gdy samemu wraca się do domu po szkole, a tym bardziej jest smutno, gdy chodzi o dziesięcioletnią dziewczynkę. A ona właśnie tyle miała lat.

Wydawało się, że w parku nie ma żywej duszy. Ala przeszła najpierw tuż obok muszli koncertowej, minęła kilkadziesiąt ławek, ustawionych równo jak karne wojsko w czterech szeregach, i weszła w główną alejkę, na końcu której widniało jasne, jak okular teleskopu, wyjście. Nagle uczuła na sobie z tyłu czyjś oddech i ręce na tornistrze. W tym samym momencie ogarnęło ją przerażenie. Nie widząc tego, co było z tyłu za jej plecami, zaczęła przeraźliwie krzyczeć i nerwowo uwalniać się z pasków tornistra, przepasających jej wątłe ramiona. Nie wiedziała, co się z nią dzieje. Głowę wypełniało jedno jedyne pragnienie: uciec, uciec stąd jak najszybciej i jak najdalej! Znaleźć się w domu, w miejscu, w którym czuła się naprawdę bezpiecznie. To było jedyne pragnienie, jakie w tym momencie w niej istniało.

– Nie krzycz, kurwa! – usłyszała za sobą pijacki bełkot. – Zobaczysz, mała, jak wujek może być miły... Tylko się w końcu, kurwa, ucisz!...

W momencie, gdy obca i nieprzyjazna dłoń dotknęła jej ramienia, uczuła, że skóra na głowie jakby jej się ściągnęła, a włosy, jej czarno-krucze kręcone włosy rozprostowują się, próbując stanąć jak na komendę: „Baczność!”. W skroniach tętno pulsowało jej tak, jakby miało za chwilę przebić się przez cienką skórę. Z każdą upływającą chwilą coraz bardziej strach i przerażenie pozbawiały ją jakiegokolwiek czucia. Nie czuła siebie i nic nie słyszała – nawet swojego przeraźliwego krzyku rozpaczy. Były tylko gorzkie, niewinne łzy, które nie znając wcześniej brutalności i perwersji życia, teraz je poznawały. I gdy wydawało się, że nic i nikt jej nie pomoże, nie obroni przed tym groźnym człowiekiem, nagle przyszła nadzieja: w gorączce zdenerwowania udało jej się wyzwolić ramiona z obręczy pasków tornistra, strząsając jednocześnie dłoń Antka. Teraz już nic nie mogło jej powstrzymać – uciekała! Biegła, ile sił w nogach, a właściwie nie biegła lecz frunęła do majaczącego przez mgłę załzawionych oczu otworu na końcu alei parkowej, gdzie miało ją czekać wyzwolenie od tego obezwładniającego ją teraz strachu; jakby tam czekać miał na nią jakiś inny lepszy świat, w którym istniało zapomnienie i błogi spokój.

xxx

W domu, oprócz ojca, nie było nikogo. Nie wiedziała, jak się w nim znalazła, jakim ponad fizycznym cudem do niego dotarła, jednak mimo schronienia i bezpieczeństwa tego miejsca, nadal była roztrzęsiona i przerażona. Zapłakana podbiegła do ojca i głośno szlochając, rzuciła mu się naszyję.

– Ta… ta… tatusiu… – zapłakała jeszcze głośniej, nie mogąc wymówić ani słowa więcej.

Przez chwilę siedział zdumiony nie wiedząc, co się stało, jednocześnie próbując ją uspokoić. Gdy w końcu udało mu się to w pewnym stopniu osiągnąć, na tyle, aby dowiedzieć się, co było powodem jej łez, niespodziewanie, jak w kalejdoskopie, zaszła w nim jakby nienaturalna zmiana. Badawczo spojrzał na nią, po czym ciepło, lecz dziwnie stanowczo powiedział:

– Rozbierz się.

Ania ponownie zalała się kaskadą łez, lecz tym razem były one niezwykle ciche. Łkała, jak pies odtrącony przez swojego pana, który czuje zbliżającą się śmierć – swoją śmierć. Ona tak właśnie się czuła – jakby umierała. Czuła podświadomie że tamto, z parku, może powrócić. I bała się tego. Ale teraz bała się chyba jeszcze bardziej niż wtedy, tym razem bała się podwójnie.

– Ale… ta… tatusiu… – bezradnie załkała.

– Nic się nie dzieje, kochanie, jesteś w domu – powiedział bezlitośnie ojciec. – Muszę tylko sprawdzić, czy… czy wszystko w porządku. Czy mówisz prawdę. Bo może…

Nie wiedziała, co się z nią dzieje. Nic do niej nie docierało. Przed oczami migały jej dziesiątki obrazów, scen z parku, jakby siedziała na karuzeli, która raz wprawiona w ruch nigdy już się miała nie zatrzymać. A teraz dom i znów to samo uczucie zagrożenia i strachu. Tylko że teraz był to strach nieokreślony, bo pochodził od bliskiej, kochanej osoby. Zdążyła jeszcze tylko zarejestrować w pamięci opadającą spódniczkę i po krótkiej chwili wypełnił ją ból. Niemiłosierny ból, który zdawał się przynosić śmierć. I może to dziwne, ale chciała jej, tak jak chciała na początku

krzyczeć. Lecz po chwili wszystko odeszło, odpłynęło, a ona stała się obojętna. Ale była to obojętność bolesna i okrutna. Obojętność nie dająca spokoju ani zapomnienia. Obojętność, która była wypełniającym ją dogłębnym, bezbrzeżnym cierpieniem. Za bardzo bolesnym, by można było zapomnieć.